

Teatr Telewizji

MAKSYM GORKI

Na dnie

6 VII godz. 13.00 p. 2

Co dzieje się z człowiekiem, gdy przepija duszę? „Wszystko zlażo — mówi Bubnow w I akcie „Na dnie” — został goły człowiek”. Czy goły człowiek — to też brzmi dumnie? Pamiętajmy, że słynne słowa Satina, jednego z bohaterów tej głośnej sztuki Gorkiego, miały pierwotnie inny kształt: „Człowiek to wspaniałe, ale brzmi tragicznie”. Jak więc, tragicznie czy, dumnie? I tragicznie, i dumnie, i śmiesznie, i zło-wrogo... Bo sztuka Gorkiego z filozoficzno-moralnego punktu widzenia jest wieloznaczna i pozostawia interpretatorom możliwości nieograniczone. Co to znaczy być człowiekiem według Gorkiego — na to pytanie próbowało odpowiedzieć już bardzo wielu inscenizatorów sztuki, która ma wyjątkowo bogatą, liczącą prawie 80 lat tradycję.

Początki sięgają roku 1902, kiedy to 34-letni wówczas Maksym Gorki, autor sławnych

już wtedy „Mieszczan”, odczytał zespołowi MCHAT-u swój nowy rękopis — „Na dnie”. Podobno wzbudził powszechny entuzjazm i już po kilku miesiącach (po uporczywych walkach z cenzurą) sztuka przemówiła ze sceny. Wcześniej, jak wspomina Konstanty Stanisławski, reżyser prapremierowego przedstawienia, wybrano się z kilkoma aktorami, odtwórcami głównych ról, do autentycznego domu noclegowego, przeznaczonego dla nędzarzy, by tchnąć w inscenizację tzw. realia życia. Nie bez powodu nazwał już wtedy Gorki ten dramat sztuką realizmu krytycznego. Kroniki notują, jak wzruszony po prapremierze, ale i zażenowany wychodził na scenę i kłaniał się rozentuzjazmowanej publiczności i jak powtarzał w kółko: „a to dobre, diabli nadali, a to dopiero historia”.

A tę właśnie historię straconych ludzi, wraków, życiowych rozbitków, skazanych na nędzę, pasujących się rozpaczliwie ze swoim losem, odczytano już wtedy jako wielki egzystencjalistyczny moralitet. I wcale nie była ona daleka modernistycznym smutkom i rozpaczom u Przybyszewskiego, Maeterlincka, Strindberga, a bliska stanie się twórczości Becketta, Sartre'a i całej współczesnej awangardzie teatralnej.

I okazało się szybko, że mimo upływu czasu ten filozo-

ficzny traktat na temat ludzkiej kondycji ciągle można odczytywać współcześnie. Lidia Zamkow, na przykład, jedna z pierwszych po wojnie inscenizatorek dramatu (na scenie Teatru Starego w roku 1960) odczytała „Na dnie” poprzez Sartre'a — jako czarny traktat egzystencjalistyczny, przeciwstawiając się zdecydowanie tradycjom MCHAT-owskim. Gdy w roku 1971 „Na dnie” znalazło się na scenie warszawskiego Teatru Narodowego, reżyser Jan Maciejewski odczytał go programowo realistycznie, zgodnie z duchem i realiami czasu jego powstania. W podobnym kierunku poszło wielu innych, m.in. Władysław Krasnowiecki. Były również interpretacje naturalistyczne i wulgarno-socjologiczne, były takie, jak Jana Świderskiego w „Ateneum”, który w roku 1972 stworzył wybitne przedstawienie aktorskie, niemal pozbawiając sztukę „rosyjskości”. W polską tradycję sceniczną wpisała się również głęboko Izabella Cywińska, interpretując „Na dnie” w roku 1974 w poznańskim Teatrze Nowym. „Cywińska przymierzyła do tego dramatu — pisał Jerzy Korczak — klucz uniwersalny. Chciała, jak sądzę, przydać totalnym kłęskom ludzi „dna” wymiarów jeszcze szerszych, ponadczasowych. Miała także na pewno chwalebne ambicje „odświeżenia”

Gorkiego, pokazania go w nowej, współczesnej formie inscenizacyjnej. Ale jak tu współcześnie tę postać przetransformować do domu noclegowego w carskiej Rosji, z całym sztafażem obyczajowym i charakterystyczną galerią postaci, związanych tak bardzo z określoną sytuacją historyczną? Sprawa niełatwa, ze względu na na wskroś realistyczną fakturę dramatu”.

A jednak pisano po premierze: „Ten nowy Gorki w Poznaniu przykuł uwagę. Czuje się, że chyba bez niego nie byłoby Becketta, jak nie byłoby pewnie Camusa bez Dostojewskiego. Czuje się, że nie byłoby może bez tego Gorkiego i „Viridiany” Bunuela... Z poznańskiego „Na dnie” wyszedłem podniesiony na duchu, z wiarą w dojrzałą młodość teatru, jaki prowadzi Izabella Cywińska”.

Dzisiaj zobaczymy tę sztukę w telewizji właśnie w jej inscenizacji. Cywińska chyba jeszcze bardziej niż dotychczasowi interpretatorzy wykorzystwała możliwości wielkiego moralitetu i zmusza widownię — a potrafi to tak jak niewielu teatralnych reżyserów — do intensywnego przemyślenia raz jeszcze kilku znanych moralnych prawd. Czy człowiek to brzmi dumnie? Czy można przepieć duszę i ocalić godność? Jak być człowiekiem?

EWA BANASZKIEWICZ